

Oleńka

Paweł Biernacki

Helsinki, 06.04.2010

Wstęp

Mógłby ktoś, czytając poniższe teksty zarzucić mi gorzką nienawiść do pana Sienkiewicza. Albo mógłby pomyśleć, że ja tak, idąc śladem pana Gombrowicza, uważam go za drugorzędnego pisarza, albo, jak pisze, zdaje się, pan Brzozowski, że Sienkiewicz to w ogóle paszkwile... Ja tylko Państwu powiem jedną rzecz. Ja znam różne zarzuty wobec pana Sienkiewicza. Może nawet z niektórymi się zgadzam. Nawet powiem, wcale nie muszę od nikogo zarzutów się uczyć, bo ja mam czym wymyśleć własne. I mam własne. Na przykład zarzut, że bardzo karykaturalnie przedstawią chłopów, chociażby Bartka Słowika. Albo ci z „Za chlebem” chyba, polscy chłopci (Wawrzon i Maryś) którzy stoją sobie w Ameryce i czekają, żeby ktoś przyszedł ich poinstruować, co mają robić. Jego chłopci są tak głupi, że aż mnie to trochę obraża. Właściwie w ogóle sienkiewiczowscy idioci są trochę jakby zbyt głupi. Pamiętają Państwo pięciu braci z „Rodziny Połanieckich” (chyba Kizio, Mizio, Bizio, Breloczek i Tatuś). To jest taki epizod, mało ważny dla powieści. Tam pan Sienkiewicz w jednym zdaniu tworzy postaci pięciu idiotów, a w drugim się z nich śmieje (że potrafią tylko tańczyć). Ja bym tak nie napisał. Kiedy pan Sienkiewicz stworzy postać idioty, to człowiek się dziwi, że ten idiota w ogóle samodzielnie oddycha. Co innego pan Prus! Tam właściwie nie ma idiotów, są za to cwaniacy i każdy jest pokrzywdzonym geniuszem! A przy tym ileż w nich wdzięku! Jestem więc może tu i ówdzie nawet dość krytyczny wobec pana Sienkiewicza. Być krytycznym w literaturze, to niekoniecznie zresztą znaczy: „to jest do niczego”. To znaczy tylko: „mnie to się nie podoba”. Ale, z tą moją nienawiścią to przesada. Powiem Państwu, dlaczego. Ja, proszę Państwa „Oleńkę”, przysięgam, piszę cytując wszystko z pamięci. Zresztą nie muszą Państwo wierzyć w moją przysięgę. To, co napisałem po prostu nie mogło powstać w ten sposób, że ja sobie wziąłem jakiś tekst, powiedzmy „Potop”, mam go przed sobą i na bieżąco przerabiam. Dowiodę tego. Tu i ówdzie zauważą Państwo cytaty z różnych miejsc, nawet z różnych ksiązek. Takie, które wprowadzie znaczeniowo pasują, ale są w oryginale zupełnie gdzie indziej. Na przykład w scenie uwolnienia Billewiczówny mam cytat: „nie był zręczny do niewiast mały rycerz” to jest z Pana Wołodyjowskiego. Albo: „ta myśl wydała mu się na razie najlepszą” jest z Potopu (pojedynek z Kannenbergiem), chodziło o „wiatraczek”. Udowodniłem? Niech więc Państwo sobie wyobrażą człowieka, który Sienkiewicza nienawidzi i jest w stanie coś takiego napisać. Sienkiewicz jest częścią mnie. On mnie stworzył. On mnie kształtował latami. Nie sam, oczywiście. I nie jestem pewien, czy by się z tego specjalnie cieszył. Ale tak jest. Może zdołałbym go zresztą przekonać, że moja „Oleńka” to nie jest tylko utwór-pasożyt, że ja jednak to i owo daję od siebie. Dawać od siebie, to zresztą jeszcze nie jest wszystko. Ważne, żeby być w tym uczciwym, to znaczy nie obiecywać Państwu, moim Czytelnikom – oto ja coś tu ciekawego od siebie napiszę, a potem dopiero myślę, co by takiego napisać, żeby dać cokolwiek. Że krzyczę o swojej rzekomej twórczości, a potem okazuje się, że kłamałem, że nie miałem nic do powiedzenia, tylko chciałem pasożytować na pracy pana Sienkiewicza i na Państwa zaufaniu. Ja jestem świadom odtwórczego charakteru „Oleńki”. Ale mam nadzieję, nawet, powiem, mam pewność, że „Oleńka” jest w pewnym sensie utworem oryginalnym. Zresztą być oryginalnym to jeszcze mało. Wiele bzdur to tezy niezwykle oryginalne. Każda propaganda każdego reżimu jest w pewnym sensie oryginalna. Ktoś się wyśmiewał, że taki artysta drży ze strachu, żeby nie powiedzieć czegoś, co ktoś już gdzieś kiedyś powiedział. Słusznie się wyśmiewał! „Oleńka” przyznaje się uczciwie do tego, że utworem całkowicie oryginalnym nie jest. Do wszystkiego przyznaje się uczciwie. „Oleńka” jest uczciwa!

Nie drzemcie, ojcie Kasjanie!

Oleńka Billewiczówna siedziała w izbie z gronem swych opiekunów, Butrymów. Siedział ogromny Józwa zwany Beznogim, człek młody jeszcze, niepomiernej siły. Siedziało kilku innych starszych wiekiem Butrymów, siedział też i biały jak gołąb staruszek, zwany przez obecnych ojcem Kasjanem. Opiekunowie wypytywali Oleńkę o pana Kmicica. Nie lza było pytać o wszystko, czego by się radzi dowiedzieć, wszak dziewczka młoda jeszcze, głupia, to i panu Kmicicowi donieść by gotowa. Trzeba było zręcznie tak dyskursem pokierować, by im sama powiedziała, co jeno wiedzieć chcieli. Wszelako pytać było nieskoro. Od śmierci Herakliusza Billewicza żyło im się w Billewiczach jak u Pana Boga za piecem. Opiekować się Oleńką i jej majątnościami radzi by po grób, aleć stary Herakliusz wypłatał im swym zapisem niemiłego figla. Zapisał w testamencie wieś Lubicz, i komu jeszcze, panu Kmicicowi, któren był familiant znany, a przy tym, jak słychać, człek krewki. Choćby i o majątność samą chodziło, pewnie by nieleniwie do dzieła przystąpił. Na domiar złego, Herakliusz zapisał mu testamentem i rękę swej wnuczki, panny łowczanki Aleksandry Billewiczówny. Majętność duża, za dwoje Wołmontowicz stanie, gruntów, lasów dość. Nie mógłże zapisać majątności im, opiekunom? Lubo w dzierżawę puścić, za gotowy grosz? Nic im nie dał, Kmicicowi dał, po amicy z rodzicem jego. Bodajby tę amicyją... A mógł im przecie dać! Szlachcic na gotowe przyjechał. Jakże miał nie przyjechać. O testamencie wiadomo, Herakliusz się zabezpieczył. Opiekunowie siedzieli źli. Myśleli jak złemu zaradzić. Patrzyli na Oleńkę. Tyle dobrze, że nic nie rozumie jeszcze. Koza. Ale dziewczka kraśna, kaduk tu owego Kmicic przyniósł prędzej niż by go kto czekał. Przykróci on cugli opiekunom. Lękali się niepomiernie, że przyjdzie im z opiekuństwa zdać sprawę. I przed kim, przed watażką znanym w Litwie całej, któren w czasie ostatniej wojny z Moskwą sam jeden podchodził Chowańskiego! Bodajby to przed dziewczką samą. Słowo opiekunów dla niej święte. Ach, żeby nie on testament...

- Nie drzemcie, ojcie Kasjanie – powiedział Józwa, rozeźlony, na starego Billewicza, na Kmicica, nawet i na Chowańskiego.
 - Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę – rozdrażnionym głosem odparł staruszek
- Popatrzeni po sobie. Wywiedzieć by się, rychłoli przyjdzie zdawać opiekuństwo.
- A o ślubie wy mówili ? – zaczął chytrze jeden z Butrymów. Popatrzyli po sobie. Jako żywo, z białogłową tak trzeba. Naokoło, powoli a cierpliwie. Swego się dowiedzą.
 - Pan Kmicic chce jak najprędzej – odrzekła Oleńka, przystojnie spuszczać oczy. Zasapali ze złości. Jeden ojciec Kasjan się rozpromienił.
 - Ot, zaś by nie kciał. Chybaby głupi! - obwieścił ojciec Kasjan, uśmiechając się szeroko. Snadź, coś mu się przypomniało. Józwa zasapał. Butrymi poczęli krząkać na ojca Kasjana. Staruszek niezrażony ciągnął dalej swoje.
 - A któren niedźwiedz... - jął wywodzić ojciec Kasjan. Józwa z rozpaczą popatrzył w powałę. Ani chybi, nic się nie dowiedzą. Chcieli białogłową za język pociągnąć, pociągnie ich ona za język. Dowie się materii wcale jej uszom nieprzystojnych. I to kiedy jeszcze, kiedy właśnie mieli zdawać opiekuństwo! Kmicic jej przecie wnet to i więcej jeszcze bez ochyby wyeksplikuje, z siarki i ognia szlachcic. Ona mu zasię powie co słyszała... Obetnie im Kmicic uszy, nic, jeno obetnie uszy. Bodajby wszyscy diabli tego Herakliusza. Trzeba działać. Józwa przechylił się do ojca Kasjana i jął go nieznacznie szarpać za rękaw. Nie pomogło. Ojciec Kasjan był uparty. Był uparty jak wszyscy Litwini i jak każdy staruszek.
 - ... Nie kce... - ciągnął dalej niewinnym głosem ojciec Kasjan. Jeden Butrym zasłonił sobie twarz dłońmi. Trzeba działać, na Boga. Co tu zrobić.
 - ... Miodu z barci! - dokończył szybko Józwa, ocierając zroszone czoło.

Wieczorem z izby ojca Kasjana dało się słyszeć gniewne mamrotanie. Ojciec Kasjan, niepomiernie kontent z siebie, siedział na łóżku i mruczał do siebie pod nosem, powtarzając raz po raz: „nie drzemcie, ojczu Kasjanie... nie drzemcie, ojczu Kasjanie...”.

Wyborny półgęsek

Oleńka Billewiczówna patrzyła na swego gościa, swego narzeczonego pana Andrzeja Kmicica, co i rusz podsuwając mu specyjały. Ciotuchna powinna była siedzieć z młodymi gwoli przystojności, ale co chwilę wychodziła, nie wiedzieć gwoli czemu. Zaczęła ciotuchnie wydawało się rzeczą przystojną, że kawaler odwiedza narzeczoną, przy tym wolała dwa razy usłyszeć niż nic nie zobaczyć. Pan Kmicic jednocześnie częstował się frykasami, pił, oficerskim obyczajem przechwalał się wojennymi przewagami, z lubością patrzył na Oleńkę i myślał przy tym nie wiedzieć o czym.

- Pij waćpan, proszę – Oleńka podsunęła panu Kmicicowi gąsior z winem
- Ja bym dla waćpanny i truciznę wypił.. podchodziłem tedy po szkłowskiej kłęsce Chowańskiego, tak, że, powiadam waćpannie, do desperacji go przywodziłem, bo, jak powiadają, na Chowańskiego srebrach jadałem, w szatach Chowańskiego chodziłem, z żoną Chowańskiego się wadziłem, powiadam waćpannie
- Jedz waćpan, proszę – Oleńka podsunęła Kmicicowi półgęsek.
- Ja bym dla waćpanny i truciznę zjadł... uprzykrzyłem im się tak, że jest nagroda za moją głowę, wyborny ten półgęsek! - powiedział Kmicic, chytrze sobie kalkulując, że ją tym zadziwi. Oleńka nie zdziwiła się, poczęła za to słuchać uważniej.
- Jak waćpan powiadasz, nagroda za waćpanową głowę?
- Jako żywo, mościa panno, jest nagroda. Żebyś mnie tak waćpanna (nie gniewajże się, dla śmiechu jeno mówię), w kij związała a Chowańskiemu przystawiła, niezły grosz by waćpannie kapnął, niezły grosz, jakem chorąży orszański!
- A duża ta... nagroda? - spytała obojętnym głosem Oleńka
- Powiadają, tysiąc czerwonych, powiadają i dwakroć, wyborny ten półgęsek!
- Jezus Maria, dwakroć tysiąc ...! - Oleńka aż przybladła i siadła przy tym z wrażenia, patrząc na tego junaka, który tak swobodnie mówił o nagrodzie dwakroć tysiąca czerwonych za swoją głowę i o półgęsku.
- Nie przejmujże się tak, krociu mój najmilszy, bo to pewna, że jej nikt nie dostanie – zapewnił Kmicic. - U mnie szabla w garści, jako powiadają, grunt.
- A.. wieszże waćpan, za żywego, czy...
- Formaliter tego waćpannie nie wyłożę, ale już się też tak nie turbuj, kwiatuszku mój najmilszy, moje ty praemium z ręki Boga dane, nie będzie mi nic!

Oleńka westchnęła i jęła podsuwać Kmicicowi smakołyki.

Po odejściu pana Kmicica, ciotuchna kręciła się w pobliżu Oleńki, nie zadając wszakże żadnego pytania. Wiedziała, że Oleńka i tak sama wszystko jej powie. Ta jednak milczała dziwnie długo, przed oczyma wirował jej pan Kmicic, pierwszy żołnierz i pierwszy oficer na Litwie i nagroda wyznaczona za jego głowę... W końcu Oleńka objęła starą pannę, wzdychając:

- Ach, ciotuchna, ciotuchna...

Ciotuchna chętnie westchnęłaby ze zrozumieniem, ale nie wypadało jej tego zrobić, ponieważ była starą panną. Pokiwała zatem głową i powiedziała „oho”. To już można było dowolnie interpretować.

Porwanie

- Słuchaj tam! Do stu diabłów, przestań! Rozmówmy się! - laudańscy popatrzyli pytająco na pana Wołodyjowskiego. Mały rycerz skinął głową.
- Mam tu pannę i beczkę z prochem. Jeśli mnie nie poniechacie, wysadzę ją i siebie, jak mi Bóg miły! Chodźcie teraz mnie brać! - Wołodyjowski ruszył wąsikami. Jeden z laudańskich rzekł:
- Wasza dostojność, to człek szalony! On gotów to uczynić! Uciekajmy!
- A.. a panna? - spytał Wołodyjowski.
- Może już nie żyje, nieboraczka – z cicha wyjaśnił laudański – porwał ci ją już ze trzy pacierze temu, porywane dziewice padają jak muchy, wiadomo... - Wołodyjowskiemu nie w smak była ta rada.
- Jest inny sposób, wychodź ze mną, zdrajco na szable! - krzyknął Wołodyjowski.

Pojedynek trwał już parę pacierzy. Laudańscy i kmicicowi Kozacy patrzyli z podziwem. Wszyscy poznali mistrza nad mistrzami. Czasem zabrzmiał czyjś śmiech nerwowy, czasem z niedowierzaniem rzucił ktoś „szczob triastia joho maty mordowała”. Laudańscy dokuczali Kmicicowi okrutnie, pomni zadawnionych uraz i spalenia Wołmontowicz. Wystarczyło, by mały rycerz, zgoła nie po rycersku sobie poczynając obraził Kmicica jakimś głupim konceptem jak na przykład „waść machasz jak cepem” wnet laudańscy hurmem podejmowali ów koncept powtarzając, „Tak! Macha jak cepem! Jak cepem! Okrutnie się zmacha!”. Zwłaszcza dał się słyszeć tubalny głos Józwy Beznogiego, który pierwszy poczynął krzyczeć, a ostatni milkł. Kmicic znał Józwę i serdecznie go nie lubił. W końcu rzucił pod jego adresem „kończ waść!”. To był błąd. Pojedynekował się wszak jednocześnie z Wołodyjowskim, a ów był to szerszeń nie lada, zagończyk sławny i szermierz nad szermierze. Jakoż miał go Kmicic spuścić z oka? Mówiąc do Józwy patrzył na Wołodyjowskiego i ten zrozumiał, że pan Andrzej zwraca się do niego. Krótko powiedział „dobrze” i ciął go straszliwie szablą. Kmicic, zaskoczony, chciał jakby coś rzec, ale nie mógł, wskazywał jeno na Józwę krzywcem szabli ... i padł na ziem. „Żyje!” krzyknął Wołodyjowski. Laudańscy zinterpretowali to jak polecenie i rzucili się, by Kmicica dobić. „Nie padł na wznak” powiedział Wołodyjowski. Po namyśle dodał przecinek po „nie”, żeby w razie czego nie było na niego. Pan Wołodyjowski nie ocierając szabli rzucił się na ratunek pannie. Laudańscy widząc go biegnącego z krwawą szablą bez komendy odstępili od dźwierzy. Zresztą każdy by tak zrobił na ich miejscu. Wołodyjowski wpadł do środka i wiedziony nieomylnym instynktem zagończyka znalazł pannę, siedzącą w komnatce. Oleńka podniosła się na widok nieznanego sobie człowieka z obnażoną szablą. W tamtych czasach mogło to oznaczać właściwie tylko jedno. Pan Michał przyjrzał się jej pańskiej postawie. Nabrał nieco lepszego o Kmicicu mniemania. Pomyślał, że choćby ów wysadził pobok niej jaszczkę z prochem, zabił jego, Wołodyjowskiego, wszystkich laudańskich, wszystkich swoich Kozaków i sam przy tym zginął, pannie nie stałaby się wielka krzywda.

- Mościa panno, wolna jesteś – krzyknął Wołodyjowski
- A Andrzej? To znaczy, a pan Kmicic?
- Usieczon – powiedział dumnie Wołodyjowski, dodając – i jam to...

Oleńka ruszyła powoli w stronę Wołodyjowskiego.

- ... nie chwaląc się... - dodał jakby mniej pewnie pan Michał

Oleńka patrzyła na niego bez słowa.

- ... sprawił... - dodał cichutko Wołodyjowski.

Czuł że jest śmiesznym. W ogóle nie był zręczny do niewiast mały rycerz. Wydawało się, że jeszcze chwila a Oleńka rzuci się ku swemu wybawcy. Spokojnym głosem spytała:

- Zabit?

Wołodyjowski cofnął się, odruchowo osłaniając się szablą. Przytomnie jednak odrzekł:

- Usieczon, ale żyw...

Zdumiał się. Pomyślał, że może panna padnie zemdlona, że będzie musiał ją ratować, ta myśl wydała mu się na razie najlepszą, rzucił szablę... Oleńka zatrzymała się. Patrząc na leżącą na ziemi szablę powiedziała:

- Dobrze, dziękuję waszmości

Kolubryna

Kilku Szwedów przybranych w rajtarskie kolety, bez kapeluszy, grało sobie w karty w pobliżu jednego z szańców, które otaczały oblężoną Jasną Górę. Było już późno. Dał się posłyszeć nieznaczny hałas.

Jeden ze Szwedów zapytał głośno:

- Werdo?

W odpowiedzi dał się posłyszeć ciąg pospiesznie wypowiedzianych słów, w języku niemieckim, w dialekcie kurlandzkim i z silnym polskim akcentem.

- To ja, Hans! Stempel mi diabli do rowu wzięli, więc krzeszę ognia, żeby go znaleźć!

Szwedzi grali jeszcze czas jakiś w milczeniu. Wreszcie jeden, młody jeszcze, powiedział:

- On jest dziwny jakiś...
- Dziwny – zgodził się Szwed, który pytał „Werdo”.

Nastało milczenie. Wreszcie młodziak podjął:

- Nie Szwed.
- Nie Szwed – kiwnął w odpowiedzi tamten.

Znowu milczenie. Spokojnie kontynuowali grę. Ale młodziak nie dawał za wygraną:

- Szwed tyle nie gada...
- Nie gada... - zgodził się, kiwnąwszy głową, tamten.
- ... nawet po szwedzku...

Odpowiedzią było długie, druzgocące spojrzenie. Młodziak zrozumiał, wziął karty i zajął się grą. Po chwili jeden z grających rzucił w stronę młodziaka:

- To jest Kmicic, chce wysadzić kolubrynę...
- Kto zacz ów Kmicic? - nie wytrzymał młodziak.

Jeden z grających nie odkładając kart wstał na chwilę, popatrzył w stronę obozu i zawołał:

- Mości Kuklinowski?

Kuklinowski wnet przyszedł. Szwed skłoniwszy się grzecznie zaprosił go, wskazując mu gestem miejsce. Następnie usiadł sam i zagaił:

- Kto zacz Kmicic?
- Waszym miłościom nic to nie mówi, nazwisko – Kmicic. - zapalił się Kuklinowski. - A to jest pierwszy żołnierz i pierwszy oficer w całej Rzeczypospolitej. Lepszego odeń w całym świecie nie masz, chyba ja...

Szwedzi momentalnie podjęli grę. Wręcz rzucili się do kart. Dała się w nich zauważyć pewna zmiana. Przez dłuższą chwilę żaden nie wyrzekł słowa. Wyglądało na to, że żaden nie mógł. Wreszcie jeden z nich zaczerwienił się i padł bez ducha. Pozostali popatrzyli z niemym wyrzutem na Kuklinowskiego...

Taurogi

Miecznik Billewicz stał przed księciem Bogusławem Radziwiłłem, w przytomności swej krewnej, panny Aleksandry Billewiczówny. W myśli ułożył sobie plan niesłychanie niedołączny, który sam za nadzwyczaj przebiegły poczytywał. Począł tedy księciu powiadać o zakopanych pieniądzech, mrugając jednocześnie na Oleńkę, tak, by książę tego nie spostrzegł. Ów jednak spostrzegł.

- Znalazłoby się trochę gotowego grosza, którym rad bym waszej książęcej mości wygodzić. Pieniądze one w naszej majątności, w Billewiczach, pod dyрекcją tej oto panny zakopywano.
- Jak waszmość rzekłes? - zdziwił się książę Bogusław.
- Pod dyрекcją tej oto panny... – powtórzył miecznik.

Książę Bogusław nie wytrzymał. Kiwnąwszy Oleńce rzucił jej “przebacz, anielska panno!” i szybko uwiódł miecznika na stronę. Tam zaczął mówić szybkim, nerwowym szeptem.

- Ja, bodajże waszmości..., ja własnym uszom nie wierzę. To ja, książę koniuszy Bogusław Radziwiłł, gubernator Prus Książęcych mego parszywego wuja, książę Rzeszy Niemieckiej, ja, który może, daj Bóg memu stryjecznemu, Januszowi, długi żywot, czapkę po nim wielkksiążęcą wdzieję, ja waszmości wraz z panną w moim zamku w Taurogach pod strażą trzymam i od miesięcy na niewinność panny Aleksandry dybię (nie przerywaj waść), ja urządzam, zaniechane już, gonitwy rycerskie, pokazy ogni (na Boga, nie przerywaj waść), gonię do pierścienia, pokazuję pannie konterfekt wojny, ja wystaję z lutnią pod jej oknem, ja się przebieram, jak idiota, za... za Troilusa, za Filemona, umyślnych do Królewca wysyłam po wstęgi, ja jej proponuję małżeństwo - i ja z panną Aleksandrą dwóch słów nie mogę zamienić, żeby ich nie słyszała jej “ciotuchna” a... a waszmość pan powiadasz, że powierzales pannę, i w dodatku jeszcze pieniądze, obcemu człowiekowi? Musiała sama się tym zajmować? Łatwo było przecie wskazać miejsce słowy, albo delineare...
- Słowa wiatr, wasza książęca mość – odrzekł miecznik – a i wedle słów dziewczki, jeśli czeladź zna się na czym, to zgoła nie na delineacjach...
- CZELADŹ? Czy ja dobrze słyszę? Powierzales waszmość pan dziewczynę czeladzi?

Książę Bogusław przestał mówić, jakby mu głosu zbrakło. Cisnął perukę precz, wbrew etykiecie, otarł czoło i widocznie próbował się uspokoić. Wreszcie podjął znowu, głosem spokojniejszym, acz znać było, że trawiła go gorączka.

- Ja waszmości błagam, mości mieczniku, panie Billewicz, stryjcu.. ja, książę Radziwiłł, cum omnibus titulis, na kolanach waszmości proszę, zechciejże mi wyświadczyć łaskę, powiedzże mi, żeś owej czeladzi wysłał z panną dwa tuziny, tuzin bodaj...
- Prawdę rzekłszy, wasza książęca mość, pieniądze nosił człek jeden tylko...
- Bodajże waszmości...

Książę Bogusław zaklaskał. Wnet pojawili się pokojowcy i, najwidoczniej opadłego z sił, pomogli usadzić na krześle. Książę patrzył przed siebie nad wyraz mętным wzrokiem. Wreszcie powziął myśl jaką, zmełł w ustach “gdyby to był człek żywy! Ha!...” i gestem poprosił miecznika. Miecznik zdumiony był książęcą alteracją.

- Czy waszmość pan... - zaczął księżę, lecz wnet spostrzegł, że mówi głosem nie nazbyt silnym – ... czy waszmość pan pamiętasz... owego ... człowieka?
- Jako żywo, wasza książęca mość, pamiętam wybornie. Pieniądze z panną nosił, nosił, ale potem umarł.

Księżę ukrył twarz w dłoniach. Nagle, wydało się, wstąpiła weń jakowaś nadzieja. Spytał szybko

- Młody był, czy stary?
- Bodaj waszą książęcą mość... Wasza książęca mość zgoła niewysokie masz o moim dowcipie, dalibóg, mniemanie... Mógłbym się, jakem szlachcic, obrazić... Jak starego wysłać do noszenia skrzyń, a jeszcze do zakopywania... Stary mocy wielkiej nie ma! Przy tym, żeby był stary, to bym waszej książęcej mości nie rzekł, że umarł! Cóż by dziwnego...

Zbliżyła się panna Aleksandra, zaniepokojona stanem księcia. Księżę popatrzył na nią niewyraźnie. Dźwignął się z krzesła, drżący jeszcze i blady. Nie ze wszystkim, znać było, siły odzyskał. Księżę powziął jakieś postanowienie.

- Owszem, panie Billewicz, pojedziecie do majątności, dam wam na drogę regiment jazdy, pieniądze odkopiecie i wróćcie.

Oleńka uczyniła dyg przynależny na znak, że się zgadza. Miecznik wszakże oponował:

- Wasza książęca mość...
- Nie! - powiedział szybko księżę – dwa regimenty jazdy dam!

Oleńka ponownie uczyniła dyg na znak zgody. Miecznik dziwił się coraz bardziej.

- Nie! - krzyknął niemal księżę – dam cztery regimenty jazdy, oddział wybornej, kozackiej piechoty i ślepo mi posłuszny pułk fanatycznych, pruskich muszkieterów!

Oleńka uczyniła dyg po raz trzeci. Miecznik, było, jął przekładać:

- Ależ wasza książęca mość, jak Boga kocham, my jedziemy w swoje strony po pieniądze, a nie na wojnę... Nie potrzeba nam żadnych regimentów.
- Dość! - uciął księżę Bogusław. - Nigdzie nie pojedziecie! Pieniądzy mi potrzeba, ale ja na to zgody żadną miarą nie dam! Mości mieczniku, ja nawet nie wiem, jak to powiedzieć. Ja ... uświadomiłem sobie po prostu, że gdyby waszmość pan pojechał dokądkolwiek sam, z panną...
- ... że uciec po prostu chcemy – wpadła mu w słowo Oleńka. Miecznik patrzył na nią, srodze zaskoczony.
- Chcieliśmy wszak uciec, nie zapieraj się, stryjaszku. - dodała Oleńka. - Najpierw były Kiejdany, potem sam mówiłeś, że wolisz więzienie w Taurogach. Siedzimy w tych Taurogach, pilnowani, bezpieczni, siedzimy, nic się nie dzieje, a radziłyśmy czegoś dokazać, sam mówiłeś, bodaj jaką taką partię zebrać... Jak mamy tak siedzieć, to już lepiej od razu zapukać do furty, którą mi też dziaduś nieboszczyk zostawił otwartą... Wolę już sto razy więcej tego Kmicica, bo ten by przynajmniej potrafił ... przepraszam waszą książęcą mość - (Oleńka urwała zmiarkowawszy, że chciała powiedzieć rzecz dla księcia nieprzyjemną).

Księżę przymknął oczy. Litość brała patrzeć na niego. Nagle przyszła mu do głowy myśl szczęśliwa. Wstał i kłaniając się dwornie Oleńce oznajmił:

- Panno Aleksandro... ja, przyznam, winien jestem, nie dość starałem się, jako gospodarz, czas waćpanny urozmaicić... O wybaczenie proszę. Ja waćpannie przyślę pannę Annę Borzobohatą-Krasieńską, niegdyś respektową księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, którą przypadkiem ogarnął pan Sakowicz... Krasna, jak szczygieł, a co do jej zacności, to choćby mi i anioł powiadał... powiadam waćpannie, nie uwierzyłbym. Taka zacna! ... W każdym razie czuję, panno Aleksandro, że wkrótce niezmierna między wami zacznie się amicyja.

Jakoż tak się stało. Panienki pokochały się okrutnie. Oficyjerów, którzy je obie codzien widzieli, brała ochota całować Billewiczówny – nogi, Anusi – usta. Podoficerom i żołnierzom było w zasadzie wszystko jedno.

Waść spaliłeś Wołmontowicze?

Oleńka stała blada i pełnym oburzenia wzrokiem patrzyła na stojącego przed nią pana Kmicica. Pan Andrzej wiedział już, że zapewne zdążyła się dowiedzieć o swawolach w Lubiczu.

- Powiadaj waćpan, zaczęło się od pijatyki?
- No nie będę waćpannie w oczy klimkiem rzucał, że nie... Popiliśmy z moimi oficyjerami, jako zwyczajnie... Winszowali mi majątności, Lubicza... a... a jak już popili, to i waćpanny...
- Strzelaliście waćpanowie do portretów?
- Do rogów, o dukat strzał... Mogło się i portretem dostać, ale to, prawdę rzekłszy, nie dziwota, spróbuj waćpanna sama z bandoletu trafić...
- A potem ciągałiście waćpanowie dziewczki na rozpustę?
- Co do dziewczek, to jam ich nie ciągał! - odrzekł tonem przekonania Kmicic.
- Waćpan nie masz wstydu i sumienia!

Kmicic patrzył na Oleńkę, nadal nie rozumiejąc. Oleńka nie posiadała się z gniewu.

- No więc kto ciągał? Waćpana oficyjerowie ciągałi!
- Ciągali... jako zwyczajnie.
- Wszyscy?
- Wszyscy, nawet Rekuć – powiedział ożywym tonem Kmicic.
- A waćpan nie ciągał?
- A jam nie ciągał...

Kmicic przysiadł na ławie. Przygryzł nerwowo wąsy. Żołnierz był wielki, ale prostak. Stokroć mędrszemu by się przytrafiło, cóż dopiero chorążemu orszańskiemu... Siła na nim ciążyło uczynków złych, siła kondemnat, jeszcze się chepił, że pana Łaszczza przewyższy, któren sobie kazał wyrokami kierezją podbić... Do tej pory zachowywał jednak pewną miarę, warchoł był, ale przecie swój rozum miał. Nigdy z żadnego jego uczynku nie wydało się tak dowodnie, że człek ten nie był zupełnie zepsuty, ale prawdę rzekłszy, zupełnie głupi... Wnet mu może i komendy powierzać przestaną. Łatwo reputacją warchoła i słynnego na całej Litwie zabijaki stracić... Któż mu da list zapowiedni? Któż go swoją powagą osłoni? Poczną go sądami szarpać...

- Może... by, tym dziewczkom jakoś... łzy obetrzeć?
- To waćpan najpierw uczyn! - wybuchnęła Oleńka
- No to jadę... - Kmicic rzucił się do drzwi. Żołnierz był gorączka.
- Czekał waćpan, wieszże dokąd jechać?
- Prawda, nie wiem. Waćpanna wie...?
- Waćpanna wie – odrzekła przedrzeźniając Oleńka. - Waćpanna musi zawdy wszystko wiedzieć za waćpana. One były wszystkie z Wołmontowicz... Całe Wołmontowicze się z waćpana śmieją – dodała, już przez łzy.

Kmicic wyszedł. Oleńka myślała, wzdychając. Dziewki to przecie jedno, a oficjerowie? Jakoż mają się nie chwalić, że w majątności chorążego orszańskiego, w Lubiczu, pijani, wszyscy dziewczki na rozpustę ciągal, a on jeden nie ciągał? Żebyż jeszcze był tak pijany, żeby nie mógł być ciągać. Spytają go, powie, że z bandoletu między rogi trafiał, pochwali się jeszcze, wiele dukatów wygrał... Pan Kmicic familiant, zacny kawaler, ale kompanię ma nicpotem, jak słusznie prawili Butrymowie. Głupi bo młody, też słusznie prawili. Oni są wszystkiemu winni! Jakoże sobie z nimi poradzić? Kazać im pójść precz? Pójdą precz. Pójdą, bo się Kmicic boją, ale z czystej mściwości będą rozpowiadać, co było... Jeszcze by radzi dołgać, że się Kmicic przed dziewczkami za kotarkę chował... Oleńka powzięła myśl jakąś, wyszła z czeladnej i zawołała:

– Józwa...?

Kmicic stał przed Oleńką, zdyszany, pokryty sadzą... Oleńka obrzuciła go wzrokiem.

- Waćc spaliłeś Wołmontowicze?
- No a co miałem zrobić? Zaprosić je znowu do Lubicza? Ja spaliłem.
- Wiesz waćpan, że waćpanowi oficjerowie pobici?
- Nie może być, kto ich pobił?
- Pobiła ich ich reputacja – rzekła wymijająco Oleńka.
- Przebóg, skąd waćpanna wiesz?
- Od Józwy Beznogiego...
- Może jeszcze żyją, na Boga?
- Nie turbuj się waćpan. Możesz waćpan zresztą jechać do Lubicza, przekonać się...
- Jadę!
- Czekażże waćpan. Po ciemku chcesz waćpan jechać? Weźmij bodaj łuczywo, żeby poświecić...

Ratunek

Jadący wąską, górską drogą orszak królewski zatrzymał się nagle. Po przeciwnej stronie ukazał się oddział wybornej szwedzkiej rajtarii liczący trzysta koni. Tyzenhauz przypadł do króla, jął krzyczeń „uchodź, Wasza Królewska Mość, uchodź, póki pora!”, krzyczeń głosem w którym obok prośby drgała i groźba. Wtem stała się rzecz dziwna. Rozległy się przeraźliwe, dzikie świsty... Znad drogi, spośród ośnieżonych drzew ukazały się dziwne postacie, w cyfrowanych portkach, w szerokich skórzanych pasach, z białymi guniami u ramion, które rozwiane w pędzie nadawały im pozór jakichś strasznych, drapieżnych ptaków... Dzikie, surowe, zawzięte twarze, chrapliwe krzyki i ta nieubłagana, nieczłowiecza zwinność z jaką poruszali się płynąc niemal z chyżością lawiny po ośnieżonym zboczu, wszystko to piorunowe sprawiło wrażenie na orszaku Jana Kazimierza, nie mówiąc już o Szwedach. Jeden Tyzenhauz nie stracił głowy. „Na miły Bóg, to górale!” krzyknął. Jan Kazimierz chciał, było wyjąć szpadę i uderzyć naprzód. „Co Wasza Królewska mość chcesz uczynić?” - pytali dworacy. Tyzenhauz chwycił za uzdę królewskiego konia, jął eksplikować pospiesznie:

- Wasza Królewska Mość, to regularny żołnierz, trzystu szwedzkich rajtarów! Toż to śmierć niechybna, taka impreza, ani świadek klęski nie zostanie...

Jan Kazimierz powziął decyzję:

- Z koni waszmościowie i w góry...
- Ale tam górale...

Jan Kazimierz spojrzął z rozpaczą w niebo i chciał, było, zawrócić konia. Kmicic pojął myśl królewską i zawrócił również, rzucając komendę „Kiemlicze, za mną!”. Król stanął w strzemionach, wołając „Zawracać, na Śląsk, salwujęm się, na Śląsk!”. Tyzenhauz natarł koniem na Kmicicowego, krzyknął „Na bok, panie Kmicic!” i zapominając już o etykiecie krzyknął do króla:

- Przecie tam Ślązacy!

Król pojął grozę położenia. Pojął ją także Kmicic i bez namysłu zawrócił konia ku Szwedom. Kiemlicze, że to nawykli do ślepego posłuszeństwa, ruszyli za nim. Jan Kazimierz jął nań wołać:

- Panie Babinicz? Panie Babinicz?

I, już do Tyzenhauza:

- Zmysły postradał do ostatka? Zatrzymajże go waszmość pan! Panie Tyzenhauz! Samoczwart uderzać na oddział szwedzkiej rajtarii...!?

Tyzenhauz niepewnie odparł:

- ... W tej sytuacji, Wasza Królewska Mość... To może właściwie jest ... jedyne wyjście...

Po chwili jednak dodał:

- Czekajże Wasza Królewska Mość, mam myśl pewną, jeśli nie użyjem fortelu, to pewna, że żywa noga z nas nie ujdzie!

Górale tymczasem wyjąć przeraźliwie otoczyli oddział Szwedów i rozpoczęła się rzeź. Zabijano ciupagami, nożami, z rzadka rozległ się strzał z króciocy, rajtarzy nie mieli muszkietów a w walce na białą broń nie mogli podołać tej nieporównanej biegłości górali, którą jeno ciągła wprawa dać może. Wnet przyszło do rapierów, aleć te przeciw siekierom górali, którzy nierzadko z zadziwiającą zręcznością nimi ciskali, marny stanowiły oręż. Szwedzi w ogóle w sztuce fechtunku ustępowali po większej części znanej ze swej biegłości w tej sztuce polskiej szlachcie. Przy tym polska szabla lepszą stanowiła broń niżli rapier, który też był pogardliwie zwan „powyrkiem”. Istniały cięcia i zastawy, których inaczej niżli polską lubo turecką szablą użyć było niepodobna. Wszelako i polska szlachta, władająca tu od wieków, nie cały kraj w jednakim zdołała utrzymać posłuchu. Były takie zakątki Rzeczypospolitej gdzie szlachta nie zdołała prostemu ludowi narzucić swego panowania. Dwa jeno. Jednym była Puszcza Białowieska. Drugim Tatry. Owóż przychodziło nieszczęsnym rajtarom przekonać się, dlaczego tak się działo. Niejeden rzucał rapier, niejeden ujmował go kierując gardą ku strasznym swym zwycięzcom i wołał głosem, w którym nie masz nic ludzkiego „pardon, pardon!”. Pardonu nie dawano, nie tyle z przyczyny francuszczyzny siedemnastowiecznych, podhalańskich górali, *entre nous* mocno kulawej¹, co z przyczyny przeraźliwego zgiełku, jaki czynili. Na wąskiej, wyboistej, górskiej drodze, pod ciosami półdzikich górali umierali Skandynawowie, w milczeniu, tak, jak zwykli walczyć.

Górale dokończywszy rzecz ze Szwedami, przybliżyli się do orszaku Jana Kazimierza. Tyzenhauz co prędzej zeskoczył z kulbaki i jął wołać:

– Ludzie, wiecie kogoście zratowali?

Zdziwieni górale stanęli, poczęli słuchać. Ceper, to i po swojemu gada. Chytry Tyzenhauz dał szybko królewskim dworakom znak i jednocześnie krzyknął w stronę górali:

– To jest wasz król!

Dworacy na umówiony znak zeskoczyli z koni i przyklękli na śniegu, otaczając szlachetną postać Jana Kazimierza. Tyzenhauz przyklękł także, kątem oka patrząc na górali. Tak! Udało się! Górale widząc klękających dworaków momentalnie uczynili to samo. Jana Kazimierza otoczył klęczący tłum prostego ludu. Wzruszony król jął przemawiać.

– Ja, Jan Kazimierz Waza, z bożej Łaski król polski, wielki książę litewski etc.etc. ...

Przemowa trwała długo. Król obiecywał, że salwowan z tych tak srogich terminów za przyczyną prostego ludu od tej pory i jemu ojcem będzie. Górale co do jednego pozdejmowali kapelusze, kołpaki, niektórzy płakali... Tyzenhauz był spokojny, wesół, szczęśliwy. Po skończonej przemowie orszak królewski pojechał dalej.

1 Z „Nad Niemnem”

Na poboju ostala się grupa niewielu ponad stu górali, patrząca ze wzruszeniem za królem. Żaden z nich nigdy wcześniej ani nigdy później nie oglądał króla. Górale skupili się wokół młodzika potężnej postury. Pytająco patrzyli nań. Młodzik unikał ich wzroku. Wreszcie jeden, widać, z natury śmielszy, zaczął:

– Zratowalim?

Młodzik nie rzekł ni słowa.

– Harnaś?

Dyplomacja

Baron Lisola przywitał grzecznie oznajmionego mu hrabiego Jana Weyharda Wrzesowicza. Kmicic usunął się nieco, nie chcąc przeszkadzać. Lisola niezwykle uprzejmie zaprosił Wrzesowicza, by ten siadł, poczęli rozmawiać:

- Jan Weyhard Wrzesowicz, do usług pana barona...
- Pan, panie hrabio tak wybornie mówisz po niemiecku... I pańskie nazwisko nieszwedzkie...
- Jestem Czech w służbie szwedzkiej.
- Proszę, zatem spod jednego pana jesteśmy.
- Kto zacz ów szlachcic, panie baronie? - spytał Wrzesowicz wskazując głową Kmicica.
- Ach, to chorąży orszański, pan Andrzej Kmicic. Powiada się Babiniczem od jednej ze swych majątności...

Hrabia roześmiał się swobodnie.

- Przeważał się wisielec. Nie ma co... Zna niemiecki?
- Zna, ale słabo. Uczył go jego kawalkator, Zend, którego był rodem Kurlandczyk. Człek niepewnego pochodzenia, jako powiadają ...

Baron Lisola mówił powoli, niby przypominając sobie coś, jakby w nadziei, że Wrzesowicz mu pomoże. Hrabia, choć wojskowy i w dyplomacji nie służył, nie dał się złapać. Roześmiał się ponownie, widząc, że Lisola próbuje prawdę z mniej doświadczonego człeka wydobyć. Obaj wiedzieli dobrze o Kmicicu, którego był kawaler i pułkownik znany w całej Litwie. Oczywiście w Berlinie przechowywano jego teczkę, do której baron Lisola miał dostęp. Baron wiedział, że w Sztokholmie jest kopia, o której istnieniu Wrzesowicz z kolei prawdopodobnie wie, ale wiedział też, że ów nie służąc w dyplomacji nie ma do niej dostępu. Z Zendem była inna sprawa, ponieważ był Kurlandczykiem. Jegoteczka po prostu musiała być w Sztokholmie, choć być może już ją przekazano do archiwum, gdyż Zend od pewnego już czasu nie żył. Stąd Wrzesowicz mógł nawet znać pochodzenie Zenda, ale nie zdradził się, czy zna. Lisola uśmiechnął się, doceniając hrabiego.

- Co do znajomości niemieckiego, możemy się łatwo przekonać.

Następnie zwracając się Kmicica zapytał:

- Panie Babinicz, rozumiesz pan po niemiecku?
- Ani słowa, choćby mi kto zęby rwał – odrzekł Kmicic.
- A to szkoda, bo chcieliśmy cię do rozmowy zaprosić...

Hrabia Weyhard zachichotał. Lisola ubawiony przymrużył jedno oko i rzekł.

- No, panie hrabio. Proszę powiedzieć... Nie chcę ja pańskiej służbie ubliżyć, ale takie służby bywają przemijające, więc gdyby pan hrabia się zechciał zabawić w taką krotchwilę, wykazać, co o tym należy myśleć, to ja bym może nawet mógł być kiedyś panu hrabiemu pomocny...
- Kłamie.

Lisola skinął głową. Wrzesowicz podjął zabawę:

- Odpowiedź była zbyt długa i nie patrzył przy tym na pana barona...
- Coś jeszcze?
- Oni wszyscy mówią, że znają niemiecki...
- Doskonale! A gdy ktoś nie zna?
- Mówi, że zna, ale słabo.
- Pan hrabia minął się z powołaniem, na honor – uśmiechnął się Lisola.

Hrabia Weyhard podziękował ukłonem za uprzejmość barona. Zaraz potem jął mówić o konieczności upadku Rzeczypospolitej i o bliskim, wedle jego nadziei, końcu wojny. Lisola słuchał go uważnie.

- Straszne, niepojęte rzeczy.
- Cóż tu się dziwić, panie baronie – ciągnął z irytacją Wrzesowicz. - Ja jestem Czech, służę Szwedom, jest wojna i walczę po przeciwnej stronie. Ale z jakich to racji wymagać ode mnie więcej niż od samych Polaków. Pan baron przecież wie, kto tu rządzi.
- A'propos. Czy generał Miller nie ma planów odnośnie Jasnej Góry?
- Panie baronie. Porzućmy krotochwile. Przecież pan doskonale wie, że gdyby takie plany istniały i gdybym ja na ich temat cokolwiek wiedział, to ja nie mógłbym nawet kiwnąć głową w odpowiedzi na łaskawe pytanie pana barona... Ani zaprzeczyć!
- Zatem nie zamierza... - zażartował niby pytając po raz wtóry Lisola.
- Panie baronie. Porozmawiajmy szczerze. Jak wszyscy wiemy, ksiądz Kordecki ma salwę-gwardię Jego Królewskiej Mości gwarantującą, że klasztor ma nie być zajmowany... Śmiech powiedzieć. Ja już nie mówię, że Częstochowa nie ma salwy-gwardii. Warszawa nie dostała salwy-gwardii! Kraków nie dostał salwy-gwardii! Jasna Góra dostała... I tak nie jest od wczoraj, panie baronie. Przecież to trwa od siedmiuset z górą lat!

Baron Lisola przymknął oczy, słuchając z uwagą hrabiego. Ów ciągnął dalej.

- Co oni mają, jazdę mają dobrą? Tak. Ale dyplomację? Sam pan baron wie najlepiej. Dyplomata to nie jest taki, któremu się przyzna tłusty dochód z królewszczyzny i da tak długi tytuł, żeby on tego tytułu sam nie umiał zapamiętać... Dyplomata musi myśleć jak dyplomata! Musi kojarzyć fakty! On musi wiedzieć, które fakty są ważne! Czy pan, panie baronie, rekomendowałby mnie do cesarskiej dyplomacji choćby do ostrzenia piór, gdybym ja na pańskie łaskawe pytania bodaj skinieniem ręki odpowiedział? W Rzeczypospolitej – proszę bardzo. Ja panu baronowi powiem dlaczego. O rzeczy naprawdę ważne nikt tu nie zapyta. Dlatego ksiądz Kordecki ma salwę-gwardię i jeszcze wszyscy wiedzą, że ma, a nikt nie spyta jakim cudem? Może inni też by chcieli taką salwę-gwardię mieć? Wszyscy o niej wiedzą, on sam o niej opowiada, choć w każdym innym kraju w ogóle bałby się o niej wspomnieć, że ma gwarancje, od wroga przecież. I jego konfratry też mają, pan baron sam wie, przecież Jasna Góra to jest tylko przykład. Nikt nie spyta na przykład po co Walezjusza im wybrali. A po co był Walezjusz? Ja wiem po co i pan baron też wie. Chcieli mieć noc św. Bartłomieja, tylko dłużej. I mieliby, już ją przygotowywali, to pan baron wie lepiej ode mnie. Ja jestem katolik, ale Czech. Mieliby to samo, co było w Czechach, za Žižki. Cud się stał, że Walezjuszowi zmarł brat, że uciekł, ale gdyby nie to, to byłoby tu jeszcze gorzej może, przecież to jest olbrzymi kraj, to nie są sami katolicy... Wojny z Rosją były. No, kto ich pchał do wojen z Rosją, za Batorego, za Wazów... Wiadomo kto. Szli na Moskwę, zajęli Kreml, awantury, panie baronie. Wojny z Rosją były ciągle, czy one były dla Rzeczypospolitej korzystne czy nie... A czy ktoś spytał, dlaczego

akurat z Rosją? Nikt nie spytał, a my przecież wiemy, dlaczego. Bo Rosja jest prawosławna, bo nie ONI w niej rządzą... No i teraz wojna z nami, to jest, ze Szwecją... Dlaczego jest wojna ze Szwecją? Też pan baron to wie. Bo Szwecja jest protestancka i nie ONI w niej rządzą... Ja tak szczerze panu baronowi powiem, ja jestem pewien, że tą wojnę sami zaplanowali, przygotowali się do niej – i że część tych przygotowań to było uzyskanie na długo, długo przed tą wojną salwy-gwardii od Jego Królewskiej Mości. Dla swoich, rzecz jasna. Gdyby Jego Królewska Mość łaskawie nie udzielił im swoich gwarancji, to tej całej wojny ze Szwecją przecież by nie było. Po co wojna, jeśli jest najmniejsze ryzyko, że księdzu Kordeckiemu stanie się w tej wojnie jakaś krzywda? Skoro nie ma ryzyka dla księdza Kordeckiego, no to co innego. Jest salwa-gwardia, no to może być i wojna. A że jest ryzyko dla innych? Ci inni to już nie są tacy ważni. Gdyby Polakom przez przypadek udało się z nami wygrać, to jak pan baron sądzi, w co oni będą wierzyć? Będą wierzyć, że to ksiądz Kordecki wygrał za nich tę wojnę...

Baron Lisola otworzył oczy. Podziwiał wywód hrabiego, ale było mu nieco żal. Nie był człowiekiem cynicznym, cesarska służba wymagała giętkości umysłu, ale bynajmniej nie cynizmu. Lojalność wobec Najjaśniejszego Pana nie wykluczała współczucia dla innych. Podziwiał również ów sposób mówienia, poważny, ironiczny, pełen gorzkiego humoru, nieco złośliwy i smutny zarazem. Baron skrycie bolał nad tym, że nigdy nie potrafił się go nauczyć. Ale baron Lisola nie był Czechem.

Zamilczeli obaj czas jakiś. Nagle baron uśmiechnął się. Zaczął powoli:

- A gdyby nadarzyła się okazja, najzupełniej zgodna z pańskim ordynansem, panie hrabio, aby jednocześnie nieco... pomóc jednym i utrudnić życie tym, o których pan hrabia raczył wyrażać się ... mniej przychylnie?
- Jakże ja im mogę pomagać, panie baronie, ja przecież walczę po przeciwnej stronie, przecież oni sami sobie nie są w stanie pomóc! Cóż ja...
- A jednak. Mogłoby się zdarzyć... by okoliczności anulowały salwę-gwardię... By ów misterny plan, którego pan hrabia się domyśla... nie powiódł się w całej pełni...
- Okoliczności, powiada pan baron? Okoliczności istotnie potrafią rozkazywać, nie gorzej od królów...
- Ani słowa... panie hrabio. Ni jednym słowem nie wyłożę panu mego planu. Pan go sam doskonale pojmie, jestem pewien...

Następnie począł mówić nieco głośniej, łatwą niemczyzną, starając się wyraźnie wymawiać poszczególne słowa:

- Ale skarbiec mnichom przetrząśnięcie... Nie będzie bez tego, co ?

Hrabia Weyhard uśmiechnął się i tym samym tonem odpowiedział:

- Najświętsza Panna talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje...

Zdrada

Uczta trwała. Kiejdański zamek trząsł się od wystrzałów na wiwat, grała muzyka, goście rozmawiali. Było jeszcze wcześniej. Białogłowy nie odeszły jeszcze do komnat, pod baczną strażą swych wiernych hajduków. Stąd też mężczyźni nie mogli jeszcze szukać uciechy w kielichach, gdyż było to niezgodne z ówczesną kurtuazją wobec niewiast, którą wielce obserwowano. Dlatego z niecierpliwością wielką oczekiwano toastów, którego zwyczaj snadź wprowadzono właśnie po to, by ten i ów kielich wychylić, nie naruszając przy tym przystojności. Widać było, że choć nawet i toastów jeszcze nie rozpoczęto, jednakowoż ten i ów był już dobrze pijany. Ze zdumieniem patrzyli na to cudzoziemscy oficerowie. Najwyraźniej brakło im dowcipu, by pojąć, że w Rzeczpospolitej nie uważano tego bynajmniej za cnotę, gdy kto potrafił sprytnie obejść przepisy. Dowcip poznawano po tem dopiero, gdy kto obszedł przepisy służące obchodzeniu przepisów. Acz i ta sztuka, nader już podówczas spowszedniała, nie wszystkich Polaków bawiła. Księżę Janusz Radziwiłł, wojewoda wileński, wstał i nieco bełkotliwym głosem zaczął:

- Mości panowie. Wielu z waszmościów zdziwi, albo zgoła ... przestraszy ten toast...

Goście istotnie słuchali z rosnącym zdumieniem. Jakiż toast zdoła ich przestraszyć?

- ... Ale ci, którym leży na sercu dobro Ojczyzny i dobro radziwiłłowskiego domu, ohotnie powtórzą go za mną.

To również dało gościom do myślenia. Słuchali dalej.

- Niech żyje Jego Wysokość Karol Gustaw, od dziś dnia łaskawie nam panujący! Wiwat!

Powtórzyło go kilku dworzan i cudzoziemscy oficerowie krzyżąc „Wiwat!”. Szlachta, zła na księcia za ów wyjątkowo długi toast, przypięła się do kielichów. Księżu Radziwiłłowi przyszło coś do głowy, zawołał pazia i szeptem nakazał: „Pułkownicy, gdzie są pułkownicy...?”. Paź odpowiedział:

- Znowu bawią się w rzucanie buławami, Wasza Księżęca Mość.

Istotnie, z przeciwległego końca sali rozległy się głosy. „Gdzie jest Kmicic? Czy Kmicic rzucił buławę?”. Pułkownicy bawili się w najlepsze, rzucając buławami do celu. Właśnie rzucał Wołodyjowski, blady jak trup. Żołnierz był znamienity wielce ale nazbyt wiele wypić nie był w stanie. Wszelako nikt się z niego z tego powodu nie śmiał, gdyż wszyscy się go bali. Jeden pan Zagłoba sobie na to pozwalał, ale dla innych to już była nieprzebieczna rzecz. Wołodyjowski był człek zacny, serce miał złote, ale gdy kto zranił jego sentyment, mógł być straszny. Tymczasem ponaglano pana Michała okrzykami „rzucaj Waść”. Pan Michał rzucił, czyniąc wedle zwyczaju ruch nieznaczny niby, ale tak szybki, że go ludzkie oko pochwycić nie mogło. Buława śmignęła o dwa palce od celu, wszakże chybiła i poleciała dalej. Dał się posłyszeć kobiecy wrzask. Wołodyjowski na ów głos rzucił się jak ryś, przeproszać.

- Przebacz waćpanna. Bóg mi świadkiem, rad bym ci nieba przychylić. - mówił stojąc przed Oleńką Billewiczówną, która nie chcąc odpowiadać uczyniła dyg, acz nie przyszło jej to łatwo.

Szczęściem, białogłowskie suknie, zwłaszcza balowe, były podówczas nader obfite. Ów nadmiar materiałów, w innych razach wcale niepotrzebny lubo zgoła szkodliwy, na ten czas osłonił biedną Oleńkę. Po chwili salę obiegł dowcip o niewieściej sukni, która się oparła pułkownikowskiej buławie. W oczy nikt go biednemu panu Michałowi powiedzieć, rzecz jasna, nie śmiał. Kmicic stał pobok Oleńki, chwiejąc się nieznacznie na nogach. Nie mógł się przecie wesprzeć na jej ramieniu, nie uchodziło. Ubrani byli, dziwnym trafem, jakby się umyślnie zmówili. Patrząc na nich mówili „chyba brat i siostra”. „Może być” odpowiadali inni. „Oczy mu się jarzą, a przecie, gdyby był jej narzeczonym patrzyłby na nią wzrokiem mętym, cielęcym”. „Gdyby zaś był jej mężem” myśleli jeszcze inni - „nie patrzyłby w ogóle”.

Z innej strony sali szlachta dysputowała wszakże o toaście księcia pana.

- Uważaliście waszmościowie, że pilim zdrowie szwedzkiego króla?
- Nie dziwota. Księżę musiał już mieć dobrze w czubie. Pamiętam uczyty, na których pilim zdrowie Jego Wysokości Chana. Nawet zdrowie Chowańskiego i to zaraz po szkłowskiej klęsce!
- Pono w Zbarażu – dorzucił inny – w Zbarażu księżę Jeremi zanim sobie podochocił, wygłaszał toasty jak przystało. Ale potem pijał i za zdrowie Chmielnickiego i nawet za zdrowie Tuhaj-Beja. Nawet (ściszył głos), imaginujcie sobie waszmościowie, wznosił i pijał pono „na pohybel Lachom”.
- Straszna rzecz, ale podobna wiary. Przecie był Rusin.
- Wszelako księciu panu drogim może się okazać ów concept. Ze Szwecją wojna. Z oficyjerów cudzoziemskich mało któren nie na szwedzkim żołdzie, osobliwie Ganchof. Niechby tak jegomość król szwedzki księcia pana dopadł, a o owe krotochwile zapytał... Sami waszmościowie wiecie. Jest to pan wspaniały, wojennik znamienity, w dodatku nie ma w nim onej dobroci serca, która rozświetla go od wewnątrz niczym alabastrową lampę... Co ja zresztą będę waszmościom owijał w bawełnę. Wielkiego rozumu jest pan. Nie to co nasz Jan Kazimierz, któren by każdemu wybaczył a jeszcze swoje dodał.

Trudno się z tym było nie zgodzić, ale trudno było się i zgodzić. Szlachta zamilkła, zadumała się. Nie od dzisiaj było wiadomo, że król Jan Kazimierz był, jak na władcę, nazbyt dobrotliwy, czyli, mówiąc po prostu, nazbyt głupi. Krążył nawet concept, że za dwóch ostatnich Wazów nowa w Rzeczpospolitej nastąpiła dynastia, po Jagiellonach. Tyle, że nie dynastia Wazów. Concept ów nie był tak krotochwilny, jak by się mogło wydawać, ponieważ istotnie pomimo zmiany królów wciąż ta sama rządziła królowa. Łacno stąd było poznać, w czyich rękach znajduje się istotna władza.

- A może by tak księciu panu... podsunąć myśl ... - zaczął jeden ze szlachty, snadź o dobro ojczyzny najmocniej zatroskany.
- Powiadaj waszmość...
- Może by księciu panu przedłożyć, że poddanie się pod protekcję Jego Królewskiej Mości Karola Gustawa to jest jakiś pomysł ... On się przecie już z Marią Ludwiką nie ożeni...
- Prawda jest. Za czasów Cinq-Marsa może i była urodziwa ale teraz, psi na widok baby wyją...
- Nie ma chwili, waszmościowie, do stracenia. Periculum in mora. Do księcia pana.
- Do księcia!

Roch Kowalski

Zmierzchało już. Szwedzki obóz był po drugiej stronie Wisły. Pan Zagłoba, pan Wołodyjowski, pan Roch Kowalski i pan Kmicic rozmawiali. O wojnie, o losach Rzeczypospolitej i o Szwedach. Pan Wołodyjowski, patrząc na pogrążony w bezruchu obóz nieprzyjaciela, rzucił:

- Dalibóg, śpią jako susły. Można by ich po ciemku zejść i choć strażę porwać...

Kmicicowi latać poczęły nozdrza:

- Niezła myśl, niezła myśl – powiedział.
- Niezła dla hultajstwa, ale nie dla tego, kto powagę kocha – powiedział gniewnie pan Zagłoba. - Ludzie, toż pułkownikami jesteście. Miejcie respekt dla samych siebie.
- Pewnie, że nie bardzo wypada – przyznał Wołodyjowski.

Pan Roch Kowalski, słysząc wywód swego wuja zamyslił się srodze. Ani chybi, wuj nie mógł mieć jego na myśli, bo przecie pan Roch jako żywo pułkownikiem nie był. Pan Kmicic mógłby się jeszcze ze swymi Tatarami podjąć takowej imprezy. Jenemu sam pan Kowalski rozumiał dobrze, czemu Kmicicowi nie lza było tego uczynić. Kmicic nie dostał zapewne takiego rozkazu. Gdyby był dostał, nie omieszkałby się nim pochwalić. Takim dali komunik Tatarów! Jenemu dlatego, że był obrotny i że się w łaski Jego Królewskiej Mości zręcznie wkraść potrafił. Jakoże się oficyjer może chwalić rozkazami? Znany był hulaka z niego, watażka, a nie oficyjer. Nawet i książę wojewoda wileński dał mu list zapowiedni, bo wiedział, że ów mu chorągiew przywiedzie... Chorągiew takich samych jak on hulaków i warcholów. Pan Roch dworował sobie w duchu z tej rzekomej służbistości pana Kmicica. Sam był służbistą od kołyski niemal. Za to przecie uczynił go swego czasu książę Janusz oficyjerem, w czasach kiejdańskiej służby. Powiadano o panu Rochu, że się księciu z pięści podobał. Wcale inne zalety musiał mieć przecie na uwadze książę pan. Oficyjerowie są od wypełniania rozkazów. Oficyjerami nie szczuje się przecie niedźwiedzi. Oficyjer musi swoją zwierzchność poważać, rozkazy wypełniać, a nie skamleć o komunik Tatarów... Tylekroć sam wuj dworował sobie z pana Rocha, że mu zgoła brak konceptu, a tego nie był powinien czynić, bo przecie krewny... Nie dali panu Rochowi Tatarów? Dali watażce? Dobrze. Pan Roch sam się na takową imprezę się poważy. Tatarów mu nie trzeba. Duch jakowyś w niego wstąpił. Gdy się z wujem i pułkownikami pożegnali, odszedł niby do swej kwatery, ale jeno dla pozoru. Zaczekał jeszcze z parę pacierzy, podsypał bandolety, wziął szablę, łyknął nieco gorzałki i cicho jął się przekradać ku rzece.

- Miłościwy Panie, pochwycono człeka, z polskiego obozu, przepłynął czołnem rzekę i miał się ku nam – z niskim ukłonem donosił samemu królowi szwedzki oficer.
- Z polskiego obozu? Sam?
- Sam, Wasza Królewska Mość. Odzież ma suchą, czołno znaleźlim. Czy Wasza Królewska Mość życzy sobie...
- Chodźmy – król narzucił płaszcz, wziął kapelusz. Wyszli.

Pan Roch siedział, strzeżony, bez broni w drewnianej budzie zbitej z grubych bierwion. Nie związali go. Pilnowało go dwóch muszkieterów. Po chwili król wszedł razem z oficerem. Pan Roch widział czterech szwedzkich muszkieterów, stojących bez słowa. W istocie stało przed nim dwóch prostych żołnierzy, jeden oficer i król. Pan Roch już po raz drugi spotykał Karola Gustawa, a naonczas, gdy go ścigał, nie widział go z bliska i nie mógł go przeto poznać. Ów jednak poznał go. Król wyszedł.

- Wasza Królewska Mość – zaryzykował idący za królem oficer – może tłumacza?
- Nie trzeba. Znam tego kawalera. Rozmówim się jutro.

Nazajutrz indagowano pana Rocha. Kto zacz. Odpowiadał. Wiedział, że będą pytać i o wojska w polskim obozie. Wiedział, że wtedy nie będzie mu już wolno odpowiadać. Ale był spokojny. Wreszcie wezwano go przed oblicze króla. Jeno z uszanowania z jakim odnosili się doń inni pan Roch domyślił się, kto przed nim stoi. Tłumacz-Polak przekładał królewskie pytania i odpowiedzi pana Rocha. Król był pogodny, uśmiechał się nawet. Nikt poza nim się nie uśmiechał.

- Waćpan jesteś pułkownikiem?
- Towarzyszem jeno, prostym towarzyszem.
- Jak waćpana zwą?
- Roch Kowalski. Herbu Korab.

Król uśmiechnął się. Polski towarzysz. Jeno herb jakby rodem ze Szwecji. Przypomniał o tym, jak pan Kowalski go ścigał.

- Waćpan nastawiał na Jego Królewską Mość, panie kawalerze?
- Ja.

Król zrozumiał odpowiedź i bez tłumacza. Patrzył z uśmiechem.

- Jego Królewska Mość raczy mówić, że niewiele brakło, a wygrałbyś waćpan wojnę...
- Nie pierwszozna... - Roch znał z opowieści historiją Gustawa Adolfa. Przypomniał sobie.

Król roześmiał się z krotchwili. Zapytał nieco żartobliwie:

- Żonatyś, panie kawalerze?
- Jam jest Roch Kowalski, a to pani Kowalska – pan Roch ruchem głowy wskazał własną szablę, trzymaną opodal. - Innej nie chcę...

Król zamyślił się, nieco poważniej rzekł:

- Afekt do białogłowy, panie kawalerze, to jest piękna rzecz. Młodyś jeszcze, masz czas. Ale nie tak znowu wiele...
- Innej nie chcę. - powtórzył pan Roch.
- Proszę. A cóż to stan małżeński w taką abominację podało? Waćpan, panie kawalerze, jako szlachcic i królem obran być możesz! Cóż dopiero mężem... Dalibóg, gdy waćpana porównuję z moim drogim królewskim kuzynem, Jego Wysokością Janem Kazimierzem, czuję, że z waćpanem trudniejszą miałbym sprawę...
- Jako żywo – odrzekł pan Roch.

Król roześmiał się znowu, lubił krotchwile.

- Dalibóg i dowcipu waćpanowi nie brak, panie kawalerze. A cóżeś sobie tak do mnie upatrzył?
- Bo... wiara paskudna – wypalił pan Roch.

Król zdziwił się. Wcale innego spodziewał się responsu. Zachmurzył się nieco. Ale wnet podjął:

- Zali pewien jesteś, panie kawalerze, żebyś mi na rękę dał radę?
- Ja bym i pięci takich dał radę – odrzekł pan Roch.

Król roześmiał się, skończył indagowanie. Rzucił parę słów, bez ochyby rozkazy. Wymyślił nową krotechwile... Ale w głębi duszy myślał. Wyobrażał sobie, że na poprzednie pytanie pan Roch odpowie mówiąc o Rzeczpospolitej, o wojnie, o obowiązku wobec Ojczyzny, o szlacheństwie. Przecie człek odważny, niegłupi nawet (w porównaniu z moim królewskim kuzynem senatorska to głowa, dalibóg, mruknął pod nosem zadowolony ze swej ironii Karol Gustaw). A gdyby tak zapytać Szweda? Gdyby, nie daj Bóg, przyszło kiedy bronić Sztokholmu przed nieprzyjacielem? Cóż by odrzekł? Szwed może by nic nie odrzekł. Ale by wiedział, że choćby nieprzyjacieli i tej samej był wiary co on, ba, choćby psalmy po szwedzku nawet śpiewał, przecie wkroczywszy orężnie na bodaj piędź szwedzkiej ziemi byłby nieprzyjacielem! Cóż mu do jego wiary? Zali mu jest pastorem? Straszna, niepodobna rzecz. Gdybyż Karol Gustaw rozmówił się był z panem Rochem wcześniej... Toż to ziemia niczyja. Prosi niemal, by ją podbić. Choćby ostatnich dobyła siła i oddała co miała najlepszego swej szlachcie, tym, którzy z urodzenia ten sentyment mieć powinni – szlachta jej bronić nie będzie. Będzie za to bronić wiary!

Pan Zagłoba, pan Wołodujowski i pan Kmicic w towarzystwie Sadowskiego, Czecha, szli przez szwedzki obóz z listem od pana Czarneckiego.

- A co to za monstra? - zdziwił się pan Zagłoba wskazując na dwóch człowieczków o oliwkowej cerze, którzy siedzieli ponuro nad bębniem pokrytym skórą renifera.
- To są Lapończykowie – wyjaśnił Sadowski.
- Dobrzyż oni do bitwy, bo mi się widzi, że mógłbym w każdą garść wziąć po trzech i póty łbami stukać, póki bym się nie zmachał.
- Z pewnością mógłbyś to waszmość uczynić. Do bitwy oni na nic. Za to na sztukach tajemnych się znają i czarownikowie okrutni.

Lapończykowie jakby na potwierdzenie tych słów półgłosem gadali nad bębniem. Jeden mówił z irytacją:

- Bęben się zepsuł. Niedługo wszystkie się zepsują...
- Jak to, ten też się zepsuł? - spytał ciekawie drugi.
- Sam zobacz. Nie umie już przepowiadać pogody² - To było główne przeznaczenie bębna, dlatego skóra renifera była pokryta magicznymi znakami. Lapończykowie pochylili się nad bębniem. Spróbowali...
- Nie, nic z tego. Znowu wyszła burza śnieżna. Próbowiałem już ze dwadzieścia razy, przeważnie wychodzi burza śnieżna. Kilka razy wyszła zawieja, raz wyszło, że będzie mróz... A mrozu nie ma. Cały czas jest ciepło, śnieg jest nawet miejscami mokry...
- Może coś źle robisz? Spróbujmy jeszcze raz.

² To nie jest mój żart. Widziałem nieco podobny żart w telewizji (chyba w fińskiej), ale ponieważ w naszej scenie z Potopu są Lapończykowie, więc go wykorzystuję i nieco nawet rozwijam.

Tym razem wyszła „zorza polarna”. Pierwszy z Lapończyków nie wytrzymał. Z dzikim wrzaskiem wskoczył na bęben i jął po nim skakać. Wykrzykiwał przy tym wszystkie znane sobie przekleństwa w języku Sami. Szybko mu się zresztą wyczerpały. Szwedzi patrzyli ciekawie na nieznanego sobie rytuał Lapończyków. Drugi usiłował go uspokoić. Bał się nieco, że może zacząć zwracać na siebie uwagę. Ale pocieszał się, że język Sami nie jest tu dla nikogo zrozumiały, można więc wygadywać, co się komu żywnie podoba. Za chwilę pierwszy z nich, skoro brakło mu rodzimych przekleństw nabrał powietrza i na cały głos ryknął:

- PERKELE!
- Zwariowałeś? Co ty wyprawiasz? – wybełkotał ten drugi. - Możesz sobie kłąć po naszemu ile chcesz, ale nie po fińsku! Przecież ktoś to może zrozumieć!³

Miał rację. Wszyscy zrozumieli.

- Jedźmy, bo jeszcze się coś paskudnego od nich do nas przyczepi... - powiedział pan Zagłoba.

³ To słowo jest istotnie fińskim przekleństwem (współcześnie), być może ma coś wspólnego z naszym Perkunem, czyli również ze śląskim słowem „pierun”. To jest oczywiście tylko mój domysł (przyp. Biern.)

Pan Zagłoba

Bitwa o Warszawę trwała. Po zdobyciu pałacu Kazanowskich pan Zagłoba znalazł się opodal muru, przy którym stały klatki. W środku siedziały małpy. Szwedzi trzymali je, bo ich bawiły i karmili ze swych szczupłych racyj. Pan Zagłoba z dobytą szablą ruszył w kierunku klatki. Przyglądając się małpom uważnie powiedział do siebie:

- *Simiae*⁴ czy diabły?

Samo w sobie było to już dość dziwne, ponieważ jako człek Ulisesem z dawna zwany i wielce dla swego dowcipu w całej Rzeczpospolitej poważany nie mógł mieć przecież trudności z odróżnieniem małpy od diabła. Może być, że powiedział tak po prostu po to, żeby nam przypomnieć, że zna łacinę. Skoro zna łacinę i tak składnie nią włada, w dodatku wobec publiczności tak nikczemnej jak szwedzkie małpy, to dowodnie stąd widać, co za senatorski rozum *sedes*⁵ w nim sobie obrał. Jakoż by nie miał mówić mądrze, skoro mówił po łacinie. Poznawszy, że małpy nie były uzbrojone zebrał się na odwagę i wpadł do klatki. Małpy, które jako żywo, nigdy pana Zagłoby nie widziały, poczęły na ów widok czynić wrzask. Najpierw jedna skoczyła na pana Zagłobę, potem druga, trzecia uwiesiła się wylotów kontusza. Pan Zagłoba tak niegodnie i nie po rycersku od wielokroć liczniejszego przeciwnika oprymowany, jął rozpaczliwym głosem wzywać pomocy:

- Mości panowie! Panowie bracia!

Wnet jego krzyki przywabiły grupę szlachty, z dymiącymi jeszcze szablami. Przybiegł i pan Roch Kowalski. Zanim zdążył uwolnić wuja z opresji, szlachta jęła ryczeć niepowstrzymanym śmiechem. Posypały się przezwiska. Co gorsza, część z nich również po łacinie.

- *Simiarum praeceptor*⁶!
- *Victor*⁷!
- Gdzie tam *victor*, chyba *victus*⁸!
- Rochu – mówił z nadzwyczajnym rozdrażnieniem pan Zagłoba – muszę czegoś znacznego dokazać, aby ową konfuzję zatrzeć. Od samego „Ogniem i mieczem” to jest pierwszy takowy casus, w którym wyszedłem na idiotę i wszyscy się ze mnie śmieją. Zawsze w mój dowcip wszyscy więcej dufali, niżli we własny. Co jakiś czas ktoś mi powtarza, że nie masz nad Zagłobę. Co jakiś czas ktoś mnie chwali, że jestem Ulisses, człek jako liszka szczwany, że z moim dowcipem trudno w paragon wchodzić... I dobrze, Rochu, czynią, bo przecie łatwiej uwierzyć w to, co komu do łba raz po raz wbijano. Żeby mi tego co jakiś czas nie powtarzano, jeszcze by kto mógł w on mój dowcip zwątpić. Na cóż by mi przyszło, gdyby tak kto w mój dowcip zwątpił? Dowcip na tym się zasadza, Rochu, by weń nikt nie wątpił. Skoro zwątpi jeden, zwątpi potem i drugi, potem zwątpią wszyscy a na końcu zwątpię ja sam. Skoro bym zaś weń zwątpił, to już po dowcipie, bo przecie dowcip nic innego, jeno to, że wiele o nim trzymają. Zawszem złośliwie i zgoła po grubiańsku traktował wszystkich, poczynając od pana Podbiپیęty, aby w on misterny sposób jawnie pokazać, że nie masz nad mój dowcip. Kogom nie ołgał, kogom nie splantował... Przecie i tyś sam świadek, bom ci nigdy żadnym wujem nie był,

4 Małpy (łac.)

5 Miejsce (łac.)

6 Małpi nauczyciel. (łac.)

7 Zwycięzca (łac.)

8 Zwyciężony (łac.)

jenom cię ołgał dowcipnie. Jakoż nie mam być zwan kanclerską głową? Regimentarzem mnie obrano, a chocia przez modestię oną buławę ustąpiłem panu Sapiesz, przecie regimentarz to persona, co się zowie. Regimentarz jest Władzą, jakoż tedy nie ma być mądry? Ale przez owe przekłete małpy, bodaj je zaraza podusiła, jak Rzeczpospolita długa i szeroka, za małpiego króla mnie ogłoszą. A skoro mnie za małpiego króla ogłoszą, wraz i mój dowcip kaduk weźmie, bo przecie dowcip, Rochu, od tego jeno zależy, za co cię ogłoszą... Muszę oną konfuzję zatrzeć. Jeno nie wiem jak. Może by tak choć raz co mądrego rzec? Ale co? Przecie rzec co mądrego znaczy tyle jeno, co kogoś splantować, wykpić i wyszydzić...

Pan Roch wszelako nader przemyślny wynalazł sposób, aby wuja reputacją uratować. W tym celu podszedł do jednego ze szlachty braci, któren się z Zagłoby śmiał i uderzył go pięścią, a tamten padł, krew ustami oddawszy.

- Panie Autorze – powiedział szybko Zagłoba. Uratuj go pan! Chłop jak złoto najszczerze.
- Ostatni raz ratuję, mości Zagłobo – dał się posłyszeć głos.

Jakoż było sprawić, by dzika polska szlachta z dymiącymi, zakrwawionymi szablami, oczadziła jeszcze od krwi, tuż po bitwie w której wyrznięła znienawidzonych Szwedów, upojona zwycięstwem i pewna siebie nie rozsiekala pana Rocha za ów nierycerski uczynek? Powinien był przecie dobyć szabli i rzucić „stawaj waść”. Pięścią uderzył, zgoła jak chłop.

- Panie Autorze! - naglił pan Zagłoba.

Pan Autor zamyślił się. Co by tu wykoncypować? Eureka! Napisał:

Inni cofnęli się przed gniewem męża.

- Niech będzie – powiedział pan Zagłoba - chocia, jako żywo, nie znam białogłowy nawet, która by się przed gniewem męża cofnęła. A co będzie ze mną? Panie Autorze?

Za chwilę obok Zagłoby pojawili się panowie Czarnecki i Lubomirski. Pan Czarnecki rzekł:

- Waść jesteś człek zręczny jak liszka, ale sobie z pana marszałka nie dworuj...

Pan marszałek Lubomirski zasię:

- Dworujże sobie waszmość, dworuj. Jakoż by się miał dowcip waszmościna okazać, gdybyś sobie nie miał dworować?

Ukazał się wnet i pan Sapięha prosząc - „Splantujże mnie waszmość pan, mości Zagłobo!”. Dołączyli pan Zamojski, pan kanclerz wielki koronny, Jego Wysokość Jan Kazimierz oraz Jego Wysokość Karol Gustaw. Wszyscy pochwalili pana Zagłobę za dowcip. Karol Gustaw powiedział nawet, że wojna właściwie tylko na tym polega i że nie tylko on, ale i Juliusz Cezar⁹ godnego w panu Zagłobie znalazłby przeciwnika. Zdało się, wobec konfuzji, której przyczyną były one trzymane przez Szwedów w klatkach małpy, najtęższy autorytet z całej Trylogii mógł łącznie lec w gruzach.

9 Miał wpaść i Juliusz Cezar, ale to by naruszało koncepcję artystyczną. Juliusz Cezar znał łacinę stosunkowo dobrze i mógłby przez to wyjść na mądrzejszego od pana Zagłoby.

Zagłoba zdawał się jeszcze niezbyt usatysfakcjonowany.

- Panie Autorze, może by tak w drodze wyjątku, coś jeszcze...
- Czekaj Waść – dał się posłyszeć głos.

Dały się słyszeć żywo rozprawiające dwa głosy, choć nie widać było, kto mówi:

- Nie, panie Heniu, ja pana bardzo proszę, przecież to by głupio brzmiało...
- Ten jeden jedyny raz! Proszę to zrobić dla mnie...
- Ja mogę, panie Heniu, najwyżej powiedzieć prawdę, ale spróbuję powiedzieć tak, że na pańskie wyjdzie...

Po chwili nad Warszawą ukazał się Pan Bóg i powiedział:

- Pan Zagłoba to jest najbardziej inteligentna postać w całej Trylogii...

Wydawało się, że pan Autor nie był jeszcze zadowolony. Słysząc było zduszony szept „i w całej w ogóle literaturze”.

Nagle rozległ się następujący kuplet:

*Zagłoba - w senatorskiej głowie
Zawsze fortele ma gotowe!
Któż z nas nie zdaje sobie sprawy:
Zagłoba omnis superavit¹⁰!*

Kuplet ów wykonały małpy, śpiewając z dość dobrym akcentem po polsku, w układzie na sopran, dwa tenory i chór, grając przy tym na zaimprovizowanych naprędce instrumentach oraz tańcząc barkarolę.

- Panie Biernacki... - powiedział Pan Bóg.

10 Zagłoba wszystko przewyższył. Może być, że powinno być „omnes”, to znaczy „wszystkich”. (Przyp. małp)

Ketling. Hassling Ketling.

- Waćpan, panie kawalerze, tak dobrze po polsku mówisz... - rzekła Oleńka do Ketlinga w Taurogach.
- Uczyłem się polskiego zanim mnie przerwucili na Litwę z rekomendacją dla Jaśnie Oświeconego Księcia Pana, żeby mnie uczynił swoim oficyjerem.
- Jak nazwisko waćpana?
- Jestem Ketling. Hassling Ketling. Jestem brytyjskim agentem. U nas to już rodzinna tradycja. Rodzina moja w Szkocji osiadła, choć z Anglii pochodzi. Nas tak przerzucają, pani, ponieważ kiedyś mieliśmy problemy i ze Szkocją. Teraz właśnie mam tajną misję w Rzeczpospolitej.
- Waćpan jesteś imigrantem, ale szlachcicem, wystarajże się o indygenat.
- Możesz być pewną, pani, że to uczynię. Mam nawet niedługo zostać posłem i posłować na konwokacją...
- Na miły Bóg. Toś już z kośćcami Polak!
- Z kośćcami? Nie znam tego idiomu. Na razie tylko na papierze. Muszę udawać zwykłego cudzoziemca, bo jednak można mnie poznać. Trochę po akcencie, a trochę po moich wywodach misternych, obcych polskim kawalerom. Teraz pracuję z księciem panem, który zresztą jest podwójnym agentem, pruskim i szwedzkim. Książę chwilowo musi symulować regalistę, choć jest jednocześnie urzędnikiem w cudzoziemskich krajach i oficjalnie zachowuje neutralność wobec Szwedów, którzy akurat was napadli...
- Kto nie musi symulować... - rzekła Oleńka. - Symuluje każdy, kto chce czegoś znacznego dokazać...
- Pewnie, że tak jest – uśmiechnął się Ketling. - Ale porzucę tę służbę i więcej nie będę o nią zabiegał. Przekonałem się, że książę ma, jak na agenta, niskie kwalifikacje, ponieważ na twoją, pani, cnotę..., to jest chciałem powiedzieć, na cnotę pewnej nadziemskiej istoty od tak dawna dybie ... bezskutecznie...
- Panie kawalerze. Nadziemskie istoty nie widzą w tym najmniejszego problemu, że ktoś dybie na ich cnotę. Nadziemskie istoty, jeśli mają choć trochę rozumu, starają się zabezpieczyć na ów termin, kiedy na ich cnotę w końcu dybać przestaną... Właśnie. Niechże mi będzie wolno zapytać...
- Na razie substancję mam mizerną, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Potem będę miał dworek ku Mokotowu. Ale nie może być chleba z tej mąki, pani. Za kilka lat mam się ożenić z agentem Drohojowską. Agent Drohojowska może dostać wcześniej zadanie bałamucenia Wołodyjowskiego, więc już jej w tym głowa, jak by mi to ułatwić, żebym, niby będąc jego przyjacielem, mógł ją jednocześnie zbałamucić...
- Proszę... Toż ja znam pana Michała. A wieszże waćpan, panie kawalerze, dla kogo on może pracować...
- Dla kogóż on może pracować, pani... - uśmiechnął się Ketling. - Przecie to człek głupi i uczciwy. Jeno by szabelką robił. Sama pani wiesz o tym najlepiej...
- Tak. Tak też myślałam. Składał mi nawet propozycje, ale wraz odgadłam, co za człek i dałam mu rekuzę. Mąż głupi to nie jest jeszcze wielka wada, ale głupi i uczciwy to już dopust Boży.
- Jako żywo. Dlatego też skończy się tak, że Wołodyjowski, choć całe życie Rzeczpospolitej służył, w moim dworku ku Mokotowu mieszkać będzie musiał. Tam też pozna agenta

Jeziorkowską, która na razie trenuje w siłach specjalnych szermierkę, strzelanie z króciocy i walkę wręcz.

- Proszę, proszę. A oważ... agent Jeziorkowska...
- Nie mogę o niej nic więcej rzec, pani. Powiem tylko, że nie chciałbym wpaść w jej ręce. To jest agent wyszkolony do zadań o charakterze wywiadowczo-militarnym. Ma kwalifikacje zabójcy¹¹. Gdyby agent Jeziorkowska dostała rozkaz zlikwidowania mnie, to już wolałbym stanąć na szable Wołodyjowskiemu...

11 Agent Jeziorkowska znała biegle języki tatarski oraz turecki. Z własnej inicjatywy prowadziła też szkolenia dla podkomendnych swego męża, Michała W., głównie z zakresu prowadzenia przesłuchań i stosowania tortur.

Tatarzynowie

W Taurogach, zamknięte na cztery spusty rozmawiały ze sobą dwie panienki. Panna Anusia Borzobohata-Krasieńska oraz panna Aleksandra Billewiczówna. Nie o supirach lub ideałach. Panienki zdążyły się już bardzo zaprzyjaźnić, dlatego rozmowa była szczera. Rozmawiały o facetach.

- Powiedźże Anusiu, nastawał na twoją niewinność pan Zamojski?
- Nie tak jak by można oczekiwać, Oleńko. W samej rzeczy właściwie nie nastawał. Ale nie działa mi się krzywda, bo przecie wśród tylu kawalerów zawsze wielu takich się znajdzie, którzy na niewinność nastają. Onże Sobiepan wielce mi to za złe miał i wiem dobrze, że nie raz w przytomności innych osób na to sarkał...
- Bodajże go. Cóż mu przeszkadzało, by i samemu nastawać...
- On nie z takich. Niezbyt to jest bystrego dowcipu pan i chociaż wiele sobie po płci białej obiecuje, nie wie zgoła jako się do rzeczy zabrać. Doszło do tego, że mię chciał porywać!
- Porywać? A niechże go kule biją... Przecie nie tak głupi jako powiadają.
- Jeno przepomniał kogo mądrego zapytać jak się niewiasty porywa. Wydumał sobie, że niewiastę porywa się tak, jak aresztuje się złoczyńcę. Zamiast tedy porwać mnie samemu wysłał oddział swoich dragonów, by mnie panu Andrzejowi odjęli. - Anusia zachichotała.
- Pan Andrzej? - zainteresowała się Oleńka.
- Grzeczny kawaler, ale nieużyty. Widać za wojną jeno patrzy. Onże miał mię przepiecznicie odwieźć, ale zaraz za Zamościem oficyjer z rozkazem przyjechał, żeby mię oddał.
- Cóż odrzekł?
- Nic zgoła, jeno z króćicy wypalił. To był sygnał umyślny, wnet pojawili się Tatarzynowie a z onym oficyjerm co się działo, żal mówić. Pan Andrzej zasię zgodnie z ordynansem dowiózł mię gdzie był powinien. Tatarzynowie się go gorzej ognia boją...
- Skądże ci to wiedzieć, Anusiu?
- Bo zawsze mówili potem, żeby na „bagadyra” uważać. Pułkownik ma to być wielki, jeno nieco z przyrodzenia tępy. Wyobraź sobie, Oleńko, dali mu rozkaz by mnie bezpiecznie dowieźć – a on owym rozkazem tak się przejął, że się do mnie i razu nie zalecał...
- Może w jakiejś innej był zakochany?
- Nie ma mężczyzny tak zakochanego, żeby się zapomniał zalecać do każdej innej białogłowy. Onże Ketling, który w Taurogach nas pilnuje niemało mię tym złości. Kocha się niby w tobie, do mnie słowa nie rzeknie, a przy tobie znowu wzdycha jak koczur, kiedy ujrzy sperkę. Skoro się już w tobie, Oleńko, kocha, bodajby się chociaż do ciebie zalecał. Niejeden Tatarzyn więcej się na amorach rozumie niżeli ów kawaler, który zresztą z daleka wygląda na tajnego agenta, bo tacy i kochają się i żenią na rozkaz...

Drogą od Zamościa jechał zbrojny komunik z kolaską. Na czele jechał konno pan Kmicic, przezywający się Babiniczem, od jednej swojej majątności. Wpodle kolaski jechali Tatarzy, od czasu do czasu pokazując ją sobie głową, przerwacając z zachwytu oczyma i cmokając wargami. Na popasach Tatarzy tłoczyli się, by pannie Annie Borzobohatej-Krasieńskiej służby swe ofiarować.

- Hej? Jakże się waćpanom podoba w Rzeczpospolitej? - pytała grzecznie Anusia.
- Że i w Bakczysaraju piękniej nie bywało... - Odparł Tatarzyn zwany Hejem.
- A czy nie brała waćpanów ochota zostać? Przecie Tatarów naszych mamy, i wszystko szlachta, choć, z przeproszeniem waćpanów, bisurmanie...
- Jako żywo, mościa panno. Załatwili sobie szlachectwo, tolerancję... Dali bakszysz komu trzeba, to wszystko sobie załatwili – Z niejaka goryczą w głosie odrzekł Hej.

- Bakszysz? Cóż to takiego? - zdziwiła się Anusia.

Tatarzy ryknęli zgodnym śmiechem. Wreszcie jeden zapytał Subagaziego:

- Panie Subagazi? Jak jest „bakszysz” po polsku?
- Tak samo prawie... Oni mówią „baksy”. Ale to jest obce słowo, więc lepiej powiedzieć „dać w łapę”.
- Właśnie – powtórzył Hej – Póki ci wasi Tatarzy nie dali w łapę, to ani mowy nie było o tym, by im pozwolenia na osiedlenie się na Litwie udzielić. Bo bisurmanie, bo w sprośnych błędach, bo żon zażywają wielu i przeto synami są Belzebuba. U was myślą, że jak ktoś ma wiele żon, to to jest raj na ziemi.
- Co za raj – z odrobiną urazy odrzekła Anusia. - Raj to może i jest, ale zgoła nie dla żadnej z nich. Cóż ma białogłowa z takiego męża...
- Z jednego ma, z drugiego nie ma – wymijająco odrzekł Hej. - U nas taki co nie ma haremu też zawsze nazywa harem sąsiada Rajskim Ogrodem, a jak już ma, to mówi na niego...
- ...Wrota Płomiennych Ognia – wpadł mu w słowo Subagazi.
- Panie Subagazi, co się panu stało? - zapytał zdziwiony Hej. - Pan przecież dobrze polski zna, bo bez tłumacza rozmawia pan z „bagadyrem”. Po polsku to jest „Wrota Piekieł”.
- Jakoż tedy było z onym bakszyszem? - zręcznie zmieniła temat Anusia.
- Zwyczajnie. Dali w łapę i powiedzieli, że to jest za pozwolenie na osiedlenie się, odszkodowanie za bisurmaństwo i sprośne błędy. Wtedy wasi odpowiedzieli im, że jak dorzucą drugie tyle, to każdy dostanie jeszcze książęcy tytuł oraz order za zasługi w obronie prawdziwej wiary. Ale oni się umieją targować, więc zapłacili tylko za szlachectwo. Jeszcze się śmiali, że król Jagiełło musiał przejść na chrześcijaństwo, a gdyby dał bakszysz, to by cała Rzeczpospolita nawróciła się na błędy pogańskie.
- Co za niegodny obyczaj. Zgoła przeciwny naszemu. My przecie tradycyjnie wszystkie przysługi robim za darmo albo za „Bóg zapłać”. A oweż haremy?
- Niewiasty w nich żywią, gwoli przystojności, by się obcemu na oczy nie pokazać. Im kto do większych godności między naszymi dojdzie, tym liczniejszy ma harem.
- A to czemu ordy w domu nie siedzą, jeno czambuły każdej wiosny rade by na sąsiednie ziemie gwoli grabieży rozpuszczać?
- Jaka tam grabież – uśmiechnął się Hej. - Haremy mają znaczniejsi jeno. Cała reszta na wojnie chce się dorobić. Każdy chce murzą zostać i własnego zażywać haremu, a nie cudzego, jak jaki hołysz.
- A po cóż owi znaczniejsi na wojnę ciągną?
- Panie Subagazi? Jejmość panna chce wiedzieć, dlaczego też starszyzna tatarska woli na wojnę ciągnąć miasto haremu w spokojności zażywać?

Tatarzynowie ryknęli śmiechem. Pan Subagazi zda się kindżału by się najchętniej imał, ale mu nie wypadało w przytomności panny gniewem wybuchać. Rzucił tylko przez zęby krótkie „kęsim” pod adresem Heja.

- Nie trzeba nic zgoła eksplikować – uprzedziła go Anusia - Może wszak starszyzna mieć swoje powody, o których rozprawiać nierada. A jakoże się waćpanom widzi służba? Pan Andrzej oficyjer doświadczony, powiadają?
- Jeśli doświadczony to jeno w hulankach a grabieży, waćpanno – wzruszył ramionami Hej. - Pewnie, lepiej mu w oczy nie leżć, bo się za srogiego wojennika lubi uważać. Żeby nasz pan Subagazi był Polakiem czy Litwinem i z samym królem się znał, jak pan Andrzej, to by złoty kaftan na grzbiecie nosił, a nie komunikiem tatarskim dowodził. Mały rycerz jest wojennik doświadczony a wielki, ale się z królem nie zna, przeto u pana Czarnieckiego służy i nic nie wysłuży.

- Wszelako pan Andrzej dyscyplinę pono zna i nawet was, Tatarzynów, żelazną ręką trzyma?
- Do żelaznej ręki wielkiego wojownika zgoła nie trzeba, waćpanno. Przeciwnie, im większy ciemięga i na wojnie mało bywały, tym dla ludzi twardszy. A z ludźmi trzeba żyć dobrze, świat szeroki, są rzeczy których i chan nie dojrzy i król nie usłyszy... Pan Andrzej służbista, prawda, ale niewiasty mu konwojować a nie komunikiem dowodzić.
- I co do niewiast, zda mi się, mruk, bo waćpanowie przecie nie od tego, by ze mną dwa słowa zamienić, a on komendy jeno patrzy.
- Jako żywo. Pies ogrodnika, nie kto inny.
- Jak waćpan rzekłes? Pies ogrodnika?
- To taki idiom, waćpanno. Pochodzi od tego tatarskiego określenia „Rajski Ogród”.
- Czyli, można by rzec, pies eunucha?
- O to mógłby powziąć urazę – wymijająco rzekł Tatarzyn – więc mi wprost waćpannie potwierdzać nie wypada. Powiem jeno, że rozum waćpanny jej gładkości dorównuje...